



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Andrij Lubka

Karbid

Andrij Lubka
Przełożył Bohdan Zadura

Karbid

albo
niewiarygodne tragikomiczne przygody
pewnego szlachetnego człowieka i całej zgrai łajdaków,
którzy szturmowali granicę wodą, niebem i lądem,
aż doprowadzili bohatera do podziemnego królestwa cieni



WARSZTATY KULTURY

Lublin 2016

Pod granicą między Słowacją a Ukrainą odkryto tajny tunel długości siedmiu boisk piłkarskich, wyposażony we własną kolej, a w nim ponad 2,5 miliona sztuk przemyconych papierosów – powiadomił słowacki rząd. Policja informuje, że tunel mógł być też wykorzystywany do nielegalnego przerzutu ludzi...

Reuters, 19.07.2012

Rozdział pierwszy, w którym pojawia się Tys, a potem znika pod ziemią

Kiedyś nikt tutaj nie zostanie. Teraz w tym miasteczku leżącym ku podnóża góry, nad rzeką, mieszka jeszcze kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Nadal tu są, choć bardzo chcą stąd wyjechać. To dziwne, bo przecież Miedwiediów stworzony jest do życia. Kiedyś to miasto nazywało się prosto i konkretnie – Miedów, ale później przyszły hordy z imperium niedźwiedzi i zmieniły nazwę miejscowości. I choć ich imperium upadło, to nazwa pozostała, gdyż miedwiedzianie byli strasznie leniwi i obojętni. W okolicznych wsiach opowiadano, że ulubionym zwierzęciem miedwiedzian jest żmija, która nawet chodząc, leży.

Podobno raz do roku karabin sam strzela, trafił się więc wśród leniwych miedwiedzian jeden działacz z prawdziwego zdarzenia, wibrator ducha, lider. On sam nazywał siebie Tysem, jego uczniowie zaś (Tys pracował w szkole jako nauczyciel historii) nazywali go na lekcjach Mychajłem Oleksijewyczem, a za plecami Karbidem. Złośliwi plotkowali, że nauczyciel ma zbyt aktywną przemianę gazową, na tyle aktywną, że często i gęsto gazy uciekają poza granice jego ciała i wtedy cała klasa traci przytomność od smrodu. A zapach ten przypominał karbid.

Natomiast Mariczka, żona Tysa, była typową miedwiedzianką, leniwą i, co więcej, kłótniwą. Leniwą, bo cały czas starała się zagonić męża do jakiejś pracy. Zdarzało się, że mówiła do niego: „Chodź jeść!”. A on, człowiek przecież niegłupi i po studiach, na to: „Sama idź!”. Tys bardzo lubił grzebać się w swoich książkach i mapach, nie mógł się od nich oderwać. Jakby żył w tym starym i nieistniejącym już świecie, o którym przez całą dobę czytał i coś tam sobie notował. Mariczka nudziła się, prosiła męża, żeby wyszedł z gabinetu, posiedział z nią, porozmawiał, a on wciąż odburkiwał swoje: „Tys jest zajęty”. Kiedyś żonkę podkusił diabeł, nie wytrzymała i zapytała:

– A czemu nazywasz siebie Tysem?

– Ech, kobieto, lepiej byś się zajęła swoimi sprawami, bo i tak niczego nie zrozumiesz. Wszystko zaczęło się od Rzymu. Od cesarza Tyberiusza, który dla swego kraju zrobił dużo dobrego. Nazywał się tak, bo w Rzymie płynie rzeka Tybr, więc Tyberiusz. A u nas płynie rzeka Tysa, więc ja – Tys.

– To dlaczego nazywasz siebie Tysem, a nie Tyseriuszem, co? To drugie bardziej by do ciebie pasowało: za co byś się nie wziął i tak wszystko zesrasz. Prosiłam żebyś kupił miotełkę, prawda? A ty co? Kupiłeś gąbkę, bo uważałeś, że w łaźni lepiej jest ciało nacierać gąbką, ona jest efektywniejsza i lepiej wpływa na krążenie, to uczeni dowiedli, jak dumnie potem opowiadałeś. A ja przecież muszę zamieść podwórko!

– Mariczko droga, nie gorączkuj się tak. Po prostu chcę zrobić coś dobrego dla naszego kraju, dla Ukrainy. Pomóc ludziom. Ja swój interes stawiam niżej niż wspólny, państwowy. Moją pracę docenią dopiero następne pokolenia...

– Tak, tak, Tyseriuszu, weź i zrób to następne pokolenie, bo ja ciebie w łóżku już rok nie widziałam – śpisz w fotelu, nawet własnej żony się boisz. Bo-ha-ter! Tys... Chujis...

Jednym słowem nie było lekko żyć Tysowi między prymitywnymi obywatelami, którzy zawsze dbali tylko o siebie. Dla niego głównymi wartościami były dobro i szczęście ojczystego kraju, a nie pieniądze, posady czy wygodne życie. I właśnie dlatego Tys potrafił poświęcić dwie czy trzy godzinki na picie w najbliższym barze i opowiadanie przy kieliszku prostym ludziom o chwalebnej historii ojczystej ziemi, ale nie miał czasu naprawić drzwi w drewnianym wychodku na własnym podwórku. Tak więc w trakcie odwiedzin w ubikacji drzwi trzeba było przytrzymywać jedną ręką, co sprawiało kłopot, kiedy człowiek chciał się podetrzeć czy podciągnąć spodnie – jedną ręką trudno jest to zrobić. Nieraz dzieci sąsiadów widziały, jak drzwi wychodka otwierają się, straszliwie skrzypiąc, i odsłaniają Karbida z wytrzeszczonymi zaskoczenia oczami.

Być może nie wszystkie zamysły udało się Tysowi zrealizować. To jednak nie miało znaczenia, skoro miał przed sobą projekt, którego doniosłość miała nadać sens jego życiu. Ideę, która przyćmi wszystkie jego niepowodzenia i porażki, a samo imię Tysa zapisze się w historii raz na zawsze. Ludzkość nigdy nie potrafiła szanować swoich bohate-

rów. Nie było ich wielu, a prymitywny lud rzadko dostrzegał proroka w swojej ojczyźnie. Z każdego z nich najpierw się wyśmiewano – Tys był historykiem, więc wiedział, że tak było od wieków. Dzięki temu się nie denerwował. Zresztą nie tak dawno temu objawiła mu się Misja.

Można przeżyć całe życie, nie wykorzystawszy swojej szansy. Tej, którą zawsze dostajemy przypadkowo, dlatego należy w porę ją dostrzec i ucześć się jej raz i na zawsze, nie wypuścić, utrzymać. Taka szansa trafiła się i Tysowi. Tak jak kiedyś trafiła się Newtonowi pod postacią jabłka, które walnęło go w czoło. Z tą jednak różnicą, że to jabłko spadło na głowę fizyka, a nasz bohater spadł sam, bez niczyjej pomocy. Nawet w takiej sytuacji Mariczka darła się jak opętana, zarzucając mu, że jest alkoholikiem, że już nawet nie jest w stanie sam się do domu doturlać. A Tys był szczęśliwy, bo los przecież dał mu szansę. Naprawdę można było uwierzyć w wersję jego żony: mąż, wracając po nocy z baru straszliwie pijany, nie zauważył niezabezpieczonego wjazdu, wpadł weń i po sam czubek głowy skąpał się w nieczystościach. Tak, taka była prawda, ale tylko pozornie.

Bo sedno znał tylko Tys: może i wpadł do szamba, ale dzięki temu w jego głowie rozbłysła idea, która nadała sens jego życiu. A więc na dół, pod ziemię! Właśnie tam musi zanurkować, właśnie tam znajdzie przyszłość dla swego nieszczęsnego narodu. Podziemna Ukraina! Musi zrobić coś takiego, czego nikt się nie domyśli. Jego dotychczasowa kariera symbolizowała to nurkowanie: zawód historyka także sprowadza się do kopania, grzebania, wgłębiania się. To tak jakby jeszcze w młodości intuicja skierowała Tysa we właściwym kierunku – w głębinę! I to tam właśnie się zatrzymał – w podziemnym tunelu miejskiej kanalizacji.

Wrócił do domu mokry, otoczony obłokiem kłujących w nos zapachów, a jednak na jego twarzy malował się błogi uśmiech. Być może to on właśnie sprawił, że Mariczka pomyślała, że Tys jest w sztok pijany. Ale to nie było tak – wypił raptem co najwyżej butelkę wódki, no, może dwie, ale nie więcej. A czy on tego chciał? Nie, po prostu w inny sposób dotrzeć do ludu pracującego nie był w stanie. A tak bierzesz sto gram, przysiadasz się, powiedzmy do brygady budowlanej, do stołu, a kiedy przychodzi na ciebie kolej, żeby wznieść toast – mówisz coś na cześć Światosława, kijowskiego księcia. Przy okazji dodawszy do tekstu krótki, dwudziestominutowy, wykład na tematy historyczne. W ten sposób

buduje się narodową świadomość – toast po toaście. Tak więc Tys robił to nie dla siebie, a wyłącznie dla Ukrainy. Ale czy Mariczka mogła go zrozumieć?

Pomimo tego wszystkiego co się wydarzyło, teraz, kiedy wyszedł z łazienki i zamotał się w pierzyny, śmiało można było powiedzieć, że to człowiek szczęśliwy. W głowie jeszcze buszował mu alkohol, dodawał myślom śmiałości i polotu, Tys zapadał w sen tak jak w otwartą studzienkę kanalizacyjną, tyle że zamiast nieczystości była tam sława, gwiazdy, kalina i narodowy szacunek. Widział siebie, jak kroczy między rzędami szczęśliwych Ukraińców, wszyscy biją mu brawo, wzruszają się, śpiewają *Sto lat*, a on idzie i się uśmiecha. Przy końcu tej drogi jest światło: wielki stół, zastawiony najrozmaitszymi potrawami i napojami. Jest tam i percówka, i śliwowica, i czysta, i piwo, jednym słowem wszystko, czego potrzebuje bohater narodowy. Na każdym kieliszku z jednej strony herb Ukrainy, z drugiej – gwiazdy Unii Europejskiej. A na podstawce – wygrawerowane imię Tysa, jego imię. Imię człowieka, który wypełnił swoją misję i połączył wreszcie zrujnowaną Ukrainę z matką Europą. Niewątpliwie tak będzie. Wszystko mu się uda. Dobrze, że los zesłał mu tę szansę, kiedy ma dopiero czterdzieści cztery lata, jest pełen sił i energii. Teraz zna swoje przeznaczenie. Pozostawało tylko zebrać ekipę, która pozwoli genialny zamysł wcielić w życie.

Tymczasem ekipa już jest, Tys ma wiernych towarzyszy, którzy nigdy nie zdradzą. Już jutro pójdzie do Ikara – ten z pewnością zapali się do jego pomysłu. Zbierze wszystkich przyjaciół, tę drużynę gigantów ducha, patriotów, Ukraińców. Wszystko pójdzie tak, jak trzeba. Chwała Bogu, że zesłał mu tę studzienkę kanalizacyjną, to była genialna aluzja! Zасыpiając, Tys raz po raz zapadał się pod ziemię, gdzie czekały na niego wyzwania i wzloty, sława i zwycięstwo. Kręcił się, coś mamrotał przez sen, uśmiechał się. We śnie wygrzebywał rękami ziemię, nurkował w niej, zagłębiając się wciąż niżej i niżej.

Rozdział drugi, w którym Tys pędzi do Ikara

Przebudziwszy się, Tys długo próbował zorientować się, gdzie jest. Całą noc spędził pod ziemią, kopiąc, ryjąc, zębami wgryzając się w grunt, a teraz widział nad sobą żarówkę, która na drucie zwisała z sufitu. Raz świeciła jaśniej, raz przygasła – tak przejawiały się problemy z napięciem. Tys pomyślał, że w ten sam sposób światło lampy wyrwie z ciemności dno jego tunelu, kiedy wreszcie zbierze ludzi i zacznie kopać.

W pokoju drażnił nozdrza ledwie wyczuwalny, choć wyraźny zapach nieczystości. Smród. Wczoraj Tysowi nie udało się zmyć go z siebie całkowicie. Oczywiście sam tego zapachu nie czuł – ogólnie rzecz biorąc, ludzie rzadko wyczuwają własny smród, podobnie jak rzadko zauważają własne wady. Natomiast Mariczka, wszedłszy do pokoju, skrzywiła się tak, jakby sama bosą nogą wdepnęła w wielką kupę ciepłego krowiego łajna.

– O Boże, może byś choć okna otworzył, skoro umyć się nie możesz! Albo śpij na dworze, obok psa! Chociaż i on będzie się ciebie brzydził, chlorze przekłety. Pijanica! Jak ty do szkoły do dzieci pójdziesz, jak one ciebie słuchać będą, kiedy nawet pies od ciebie ucieka? Popatrz na swój gabinet, zasrańcu nieszczęsny, żyrandola nie ma, żarówka zwisa z sufitu jak w stodole, we wszystkich szafach książki porozrzucane jak po burzy, skarpetki na podłodze, na stole mapa, a na niej kości z przedwczorajszego barszczu, a nad tym wszystkim – twój zapach, fe! Dlaczego wysłałam za ciebie? Dlaczego nie posłuchałam matki, która mówiła, że lepiej wyjść za truposza niż za historyka, lepiej wyjść za inwalidę, który przynajmniej dostaje normalną rentę, niż za zwykłego nauczyciela – lamentowała żona.

– Mnie zmarły ojciec też ostrzegał: nie bierz świni z wioski Sasowa, a żony z Korolewa! Ale nie posłuchałem, ożeniłem się z tobą i już na

własnym weselu całą wątrobę mi zżarły toasty za to, że Korolewo to wieś królów, ty – jak królowa. A ty jak krowa! Która zatruwa mi życie, wiecznie tylko macha ogonem i nie daje się skupić. Więc zabieraj się stąd, nie widzisz, że rozmyślałam?

Mariczka początkowo chciała mocno splunąć na podłogę, odwrócić się i wyjść, ale szybko zrozumiała, że sama będzie musiała to posprzątać, dlatego tylko zmierzyła swojego męża najbardziej pogardliwym spojrzeniem, do jakiego była zdolna, i wyszła. Tymczasem Tys wyglądał naprawdę żałośnie: rozwalił się w starym, obskurnym fotelu, który w dodatku nie miał jednej nogi i przekrzywił się jak idący na dno Titanic. Tys ubrany był w bokserki w kratkę, w jakich chodził wyłącznie po domu i czarne skarpetki, podciągnięte prawie do kolan. Jedna z nich – lewa – miała sporą dziurę w miejscu wielkiego palca i oczywiście wystawał z niej długi brudny paznokieć. Włosy na głowie Tysa były czarne, ze śladami siwizny, rozczochrane na wszystkie strony, przetłuszczane. Włoski na jego chudych, niemal rachitycznych nóżkach, ukwieconych ciemną pajęczyną naczyń krwionośnych, wyglądały na długie i naelektryzowane – stały podniesione jak tyczki w ogrodzie. Obrazu dopełniały długie wąsy, których jeden koniec uniesiony był ku górze, a drugi, obśliniony podczas snu, przykleił się do policzka. Mówiąc szczerze, Tys naprawdę wyglądał marnie, ale cóż poradzić: kac i lata zrobiły swoje, a żona też miała w tym swój udział, zabijając jego ambitne pomysły.

Jednym słowem, wygląd Tysa tego ranka bardzo mocno kontrastował z genialnością jego zamysłu. Kiedy przypomniał sobie swoją epokową ideę, nastrój od razu mu się poprawił, mężczyzna nawet uśmiechnął się sam do siebie, odsłaniając przy tym złoty ząb, znajdujący się w miejscu prawego górnego siekacza. Spróbował podkręcić wąsa, ale ten okazał się nadal mokry i śliski, więc Tys tylko z obrzydzeniem wytarł dłoń o fotel. Wtedy we wnętrzu tego człowieka jakby włączył się jakiś nieznany mechanizm, motorek, który poderwał naszego bohatera i przyspieszył pracę jego rąk. W medycynie nazywa się to syndromem rannej euforii po dużym pijaństwie, kiedy człowiek budzi się jeszcze pijany i z tego powodu jest nadmiernie pobudzony, wesoły, entuzjastyczny. Tys nic nie wiedział o tym zjawisku, dlatego przemiany chemiczne we własnym organizmie potraktował jako genialność i siłę własnego umysłu.

Nie miał już prawa czekać dłużej – każda minuta stawała się bezcenna. Trzeba było, najszybciej jak można, pobiec do najlepszego przyjaciela, który pomoże urzeczywistnić jego ideę. Tys założył o dwa rozmiary za duże spodnie, spiął je paskiem w swojej chudej talii: teraz wyglądały jak spódnica – schodziły się u góry, a zewsząd szerszymi fałdami rozchodziły się ku dołowi. Musiał ponownie rozpiąć pasek, ponieważ zapomniał włożyć koszulę. Naciągnął ją na siebie, wpuścił w spodnie, wskoczył w czarne, ale pokryte jak skóra salamandry błotem buty z ostrymi noskami, na werandzie jeszcze raz przejrzał się w lustrze, chwycił marynarkę, na głowę założył czarny kapelusz. Z kieszeni marynarki wyciągnął stary i tani elektroniczny zegarek, założył go na prawą rękę – kreując się na bardzo oryginalnego i naprawdę szacownego człowieka, któremu los powierza historyczną misję. Przed lustrem stał flakon tanich perfum żony. Intuicja podpowiedziała Tysowi, że nie zaszkodzi trochę nimi się spryskać. Zresztą wszyscy mieszkańcy Miedwiedziowa uważali, że mocno spryskawszy się perfumami, ładniej pachną, więc nie muszą się myć.

Tymczasem wewnętrzny motorek wciąż nie zwalniał, dostarczał do nóg szalonej energii, tak więc Tys niemal biegiem przeszedł przez podwórze, wpadł do komórki, w której po chwili wskoczył na stary rower. Przerzucając nogę nad ramą, posłyszał trzask w spodniach, które pękły z tyłu, ale nie miał czasu na zmianę ubrania. Poza tym u rowerzysty rozdarcia na tyłku nikt nie zauważył. Przynajmniej Tys tak sądził, a on – cokolwiek by powiedzieć – miał wyższe wykształcenie. Zbyt daleko nie ujechał, jeszcze na własnym podwórku z hukiem spadł ze swego żelaznego rumaka: spodnie pochwyciła zębátka, nogę mu wykręciło, więc niezgrabny rowerzysta stracił panowanie i upadł jak Don Kichot. Minęły prawie dwie minuty, nim się pozbierał, uwolnił odzież z łańcucha, potem z kieszeni na piersi wyciągnął dwie szczyпки do bielizny, spiął nimi spodnie u dołu, podciągnął je, splunął, wsiał na rower i pomknął ulicami i ich zakrętami tak szybko jak trzecioklasista, pozostawiając za sobą kurzawę i rozpędzoną zgraję bezpańskich psów, które wylegiwały się w słońcu.

Ikar w Miedwiedziowie był osobą znaną i szanowaną. Z Tysem znali się, a nawet przyjaźnili (choć bardziej to Tys z Ikarem niż na odwrót) jeszcze z czasów szkolnej ławy, w której posadziła ich razem wychowawczyni Liza Pawliwna. W szkole było im dobrze, byli siebie warci

– lubili wstroić jakąś głupotę, razem pójść na węgry, spuścić powietrze z kół rowerów kolegom z klasy czy też w sąsiedniej klasie nasikać do doniczki z kwiatami. Życie, być może, nieprzypadkowo ich zetknęło, bo Tys i Ikar wzajemnie się uzupełniali, w szkole Ikar – lub jak go nazywano Stepan, a skoro pochodził z węgierskiej rodziny, to również Istvan – ściągał od Tysa, któremu nauka szła łatwiej. Po zakończeniu szkoły ich drogi się rozeszły: Istvan poszedł do miejscowej zawodówki uczyć się na mechanika samochodowego, a Tys wstąpił na wydział historyczny Uniwersytetu Użhorodskiego. Po studiach Tys wrócił jako nauczyciel do Miedwiediowa, dając w ten sposób Ikarowi szansę odwzajemnienia się za niegdyś odpisane prace domowe i sprawdziany. Ikar został biznesmenem (jak z dumą nazywali go sąsiedzi i rodzina) lub przemytnikiem (jak nazywała go miejscowa gazeta i milicja), tak więc w trudnych i biednych latach dziewięćdziesiątych miał żywą gotówkę, którą od czasu do czasu pożyczał Tysowi – wiedząc, rzecz jasna, że nauczyciel nigdy nie będzie w stanie jej oddać, a nawet, że nie przyjdzie mu do głowy, żeby to zrobić.

Biznes Ikara rozpoczął się w dniu jego osiemnastych urodzin, kiedy dostał paszport. Uczył się wtedy jeszcze w zawodówce, ale dorabiał już sobie w miejscowym warsztacie samochodowym. Wieczorem został po pracy, a gdy starszy mechanik poszedł do domu, wziął samochód, w którym następnego dnia za pomocą spawarki i kompresora mieli powiększać bak. Po ogrzaniu metal daje się rozciągać i mechanikom samochodowym udawało się sześćdziesięciolitrowy bak starego, przedpotopowego audi przerobić na prawie stulitrowy. Było to korzystne dla właściciela, ponieważ mógł wywozić za granicę, na Węgry, ponad półtora raza więcej niż dotychczas paliwa, które w sąsiednim państwie było trzykrotnie droższe. Spryciarz zlewał ropę, jak mówili w Miedwiediowie „na Madziarach”, sprzedawał ją tamtejszym kierowcom, a sam na resztkach wracał na Zakarpacie. Oczywiście podczas takich „wycieczek” trzeba było odpalać dolę celnikom – brali po hrywnie od litra, ale wic polegał na tym, że oni myśleli, że bak audi ma standardową pojemność i brali od przemytnika pięćdziesiąt osiem hrywien (po jednym litrze traciło się na drogę – tam i z powrotem). Od właściciela tego audi Ikar nauczył się powiedzenia, które w przyszłości stało się jego życiowym credo: jak nie zapierdolisz, to nie wydolisz.

Tak więc w dzień swoich osiemnastych urodzin Ikar został w warsztacie, siadł za kółkiem audi, wrzucił pięć butelek wódki, dwa kartony papierosów, zatankował i pojechał na Węgry. Tam zlał paliwo, sprzedał dwa razy drożej wódkę i papierosy, na drogę powrotną nakupił mandarynek, które w tym czasie w Ukrainie były towarem deficytowym, czekoladek i gum do żucia z zagranicznymi etykietkami, o które dzieci bezustannie zamęczały swoich rodziców. Zyskiem z ropy Ikar podzielił się z celnikami, mandarynki i słodycze sprzedał od razu po przekroczeniu granicy miejscowym handlarzom. Odstawił samochód do serwisu i o czwartej nad ranem był już we własnym łóżku. Przez jedną noc zarobił całe 45 dolarów – w przybliżeniu kilka miesięcznych pensji ukraińskich nauczycieli.

Ten „biznes” Ikarowi się spodobał, dlatego kontynuował pracę za grosze w warsztacie samochodowym, by nocą cudzymi samochodami przewozić kontrabandę. Warto podkreślić, iż był bardzo roztropnym człowiekiem – żadnej kopiejki z zarobionych pieniędzy nie roztrwoniał, zbierał je, planując w następnym roku zakup własnego samochodu, co miało położyć kres jego pseudopracy w warsztacie. To skupianie się na efekcie końcowym było główną cechą jego charakteru – gdy przejął się jakąś sprawą, to uspokajał się dopiero wtedy, kiedy doprowadził ją do końca. Tak więc bardzo szybko, bo w wieku dwudziestu lat, zyskał w Miedwiediwie i na pobliskich przejściach granicznych opinię człowieka interesu. W wieku dwudziestu pięciu lat mógł się pochwalić znacznym majątkiem i kilkoma samochodami (a każdy z bakiem jak łódź podwodna), żoną i mandatem miejskiego radnego.

Po piętnastu latach, które minęły od tego czasu, sztuczka z przewozem paliwa straciła rację bytu. Węgry wstąpiły do Unii Europejskiej i ceny benzyny oraz ropy zbliżyły się do takiego poziomu jak w całej Europie. Jakaś różnica – co prawda – jednak pozostała, ale utrzymać się z niej mógł chyba tylko jakiś drobny przemytnik. Teraz celnicy spisywali stan wskaźnika paliwa i licznika kilometrów: kiedy człowiek pół godziny później wracał na granicę z pustym bakiem i po przejechaniu wszystkiego trzech kilometrów – czekała na niego duża kara. Dlatego kierowcy jechali z pełnym bakiem, sprzedawali paliwo za granicą, a potem zjeżdżali na jakiś parking i stali tam po pięć, sześć godzin. Przebieg auta podkręcali specjalnym przyrządem, przypominającym maszynkę do mięsa. Podłączali go do licznika, kręcili korbką i po kilku

chwilach otrzymywali potrzebne wskazanie. Po tym wszystkim, gdy taki kierowca wracał na granicę, celnik widział, że był on tu wprawdzie siedem godzin wcześniej, ale przez ten czas przejechał niemal 700 kilometrów, więc miał prawo mieć bak pusty. W ten sposób kierowcy unikali kar, ale zarabiali niewiele – jakieś 20 dolarów za kurs, który zabierał im do 10 godzin.

Ikar, który był już magnatem i królem granicy, oczywiście taki drobny „biznes” nie interesował. W dodatku miał wprawdzie tylko średnie wykształcenie zawodowe, ale ono dawało mu możliwość konstruowania środków transportu, by były najbardziej efektywne, intratne i lepiej nadawały się do przemytu.

Jego park z roku na rok się powiększał i stawał coraz bardziej niezwykły. Nie poprzestał na pierwszym kupionym samochodzie – starym oplu, kupował i remontował samochody, które dawno już powinny trafić na szrot, ale on przerabiał je na istne bestie przemytu. Tak pojawiła się u niego stara niva, której bak mieścił około 200 litrów i wyglądał jak wielka poduszka pod nadwoziem. Nieco później pozyskał ikarusa, którym – pozorując międzynarodowe przewozy pasażerskie, – naprawdę woził tylko własną rodzinę udającą turystów, ale pod podłogą ukryty był bak, niemający sobie równych na całej zachodniej granicy Ukrainy – na prawie 500 litrów. Lecz to nie z powodu tego ikarusa nazwano go w Miedwiedziowie Ikarzem.

Właściwie lepiej by do niego pasowało jakieś inne przezwisko: na przykład Ichtlander czy choćby nawet Amfibia. Przez jakiś czas miejscowi nazywali go Kurskiem, gdyż opisane poniżej wydarzenia miały miejsce na samym początku XXI wieku, kiedy zatonął rosyjski okręt podwodny o tej nazwie. Wszystko dlatego, że na przełomie wieków paliwo na Ukrainie zaczęło kosztować tylko niewiele mniej niż na Węgrzech, w Rumunii czy na Słowacji, więc jego przewożenie stało się już nie aż tak intratne, a benzynę i ropę zastąpiły papierosy, na które akcyza w Unii Europejskiej była około 20 razy wyższa od ukraińskiej. Więc także Ikar, zauważywszy zmianę koniunktury, powoli zaczął się przekwalifikowywać przede wszystkim na przemysłnika papierosów. Jednak na cle były drastyczne ograniczenia: jeden człowiek nie miał prawa przewieźć więcej niż karton papierosów, a po kilku latach dozwoloną ilość odgórnie zmniejszono do dwóch paczek na głowę. Okres przekwalifikowywania swego biznesu Ikar przeżył w ten spo-